

Pokój do wynajęcia.

Humoreska

napiisał JAN ZDORA.

1.

Stał się brzydki wypadek: gospodarz domu wypowiedział mi dziś uroczyście mieszkanie.

— Panie — trzęsąc bezzębną szczęką, mówił przewrotny ten hypokryta — aczkolwiek miło mi w domu moim posiadać tak znakomitego ze wszech miar lokatora, aczkolwiek uznaję, że w ręku swoim dzierżysz pan losy krnąbrnej Europy, którą poskramiasz dziennikarskim piórem; aczkolwiek gotów jestem uznać nawet, że haniebne upadki gabinetów zawdzięczamy pańskim artykułom i feljetonom — ależ panie, wierzę, nie jestem samolubem. Kocham moje rodzinne miasto i bliznich moich: nie obrazisz się pan przeto, że pragnę, aby także i innych właścicieli domów spotkał zaszczyt posiadania w swych murach tak niepospolitego męża... Panie, daję panu słowo honoru uczciwego mieszczanina, że nad bramą domu mego każe nawet wmurować tablicę pamiątkową, poświadczającą, jakoś pan tu mieszkał, czuł i myślał. Tylko upraszam gorąco: miej pan litosć nad dziećmi memi, nie żądaj, abym umarł z nadmiaru szczęścia i swoją szacowną osobą racz uszczęśliwić innego znów kamienicznika...

Cóż było począć?..

Skloniłem głowę z senatorską godnością i zlorzezczać losom, które uczyniły mnie jednym ze świeczników narodu — poszedłem szukać nowego mieszkania. Nie łatwo było je znaleźć, właśnie bowiem zjechała się z wakacyj cała młodzież do miasta i rozechwytało wszystkie wspanialsze i większe apartamenty... t. z. kawalerskie pokoje.

Nareszcie przy jednej z ustronnych uliczek, znajdując nad bramą narożnego domu nadzwyczaj efektownie wypisaną kartkę:

Pokoi do wynajęcia

dla

kawalera pojedynczego, albo panny przyzwoitej kaduity.

Ponieważ byłem właśnie pojedynczym kawalerem i znałem pewnego razu pannę przyzwoitej konduity — przeto bez namysłu poszedłem obejrzeć mieszkanie.

Znużony, zły wściekły, pnę się po stromych schodach na pierwsze piętro.

Oddycham... na drzwiach bowiem jednego z mieszkań spostrzegam następującą kartkę, wypisaną tą samą ręką, która nakreśliła przed bramą wiadomość o pokoju:

Tu się przyjmuje falbanki do rórkowania

— *Lasciate ogni speranza!*...

Więc to tu niechybnie...

Serce zaczyna mi bić gwałtownie, bo dorozumiewam się, że mieszka tu kobieta — naturalnie pewnie piękna i nieza-

wodnie przyzwoitej konduity, skoro na wsółlokatora poszukuje pojedynczego kawalera.

Pukam.

— Boska nimfo, otwórz!

— *Herein!* — odzywa się jakiś głosik niewieści.

Otwieram drzwi i...

Iniespodzianie, zamiast pięknej nimfy mam przed sobą jakiegoś sążnistego szwabę, o wielkiej ryżej czuprynie, rozrzucanej w nieładzie, o rysach twarzy pospolitych i oczach jakichś błędnych, niespokojnych, a tak dziwnie zabarwionych, że formalnie mają kolor masłanki. Jego mość ten widocznie gdzieś pracuje w fabryce, jest bowiem ubrany w bluzę robotniczą, na rozczochranej głowie ma spiczasty kapelusz filcowy z szeroką kryzą, w nadpróchniałych zębach krótką fajeczkę, w potężnych dloniach kawał tegoż kija.

Tu! fatalnie: wdepnąłem widać w męża. Poznaje to po jego minie i wejrzaniu...

Z kłopotu wybawia mnie młoda, świeża i pulchna niemeczką, pewnie żona tego pięknego pana, który spogląda wciąż na mnie wzrokiem zgłodniałego ładożercy. Musi być kanalia, ogromnie zazdrośny. Bo też ma być o co! Kobiętka, powiadam państwu, pieścićdelko. Istny ananasik! Jadłby to człowiek całą łyżką.

Was wünschen sie? — zapytuje mnie uprzejmie.

— Czytałem właśnie o pokoju...

Jegomość z kijem w ręku zaczyna się po tych słowach uspokajać, próbuje się nawet uklonić i ruchem desperackim zdziera sobie kapelusz z ryżej głowy. Chrząka, robi melancholijne poruszenie ustami — chce gwałtem coś mówić.

— Bo to... to... *wissen sie*, pane dobrodźcu — zaczyna nareszcie.

Nie słucham go, gdyż właśnie uroczą nimfą, poszukującą pojedynczego kawalera — ukazuje mi malenki, przyległy pokoiik.

— Więc to... przechodni? zapytuje niechętnie.

I mam już uczynić odwrót Napoleona z pod Moskwy — gdy wtem nimfa spogląda na mnie takim jakimś szelmowskim wzrokiem, jakby mi mówiła:

— Tem lepiej dla ciebie... Jakiś ty nie mądry!...

— Tak! lepiej! Mąż szwab brzydki jak oranguntang, ona młoda, powabna — no, a ja...

Cóż mi szkodzi?

Najmuję więc mieszkanie.

Ciekawy jestem, co to za naród, ci moi gospodarze?.. Na początek wiem tylko, że wabia się Filomena i Gustaw.

Nadziejo! przypnij mi swoje skrzydła..

II.

Tydzien już u nich mieszkam. Interes moje idą nie źle, pomagam rurkować falbanki i prowadzę życie jedwabne. Są jednak rzeczy, które mi się nie podobają...

O tem — później.

Dzisiaj obudziłem się z okropnym

bólem głowy. Miałem sen dziwny: śniła mi się piękna p. Filomena, wieprzowina i knedle, które jadłem wczoraj na kolację, a potem...

Potem śnił mi się olbrzymi jeleni z ryżym łbem i wielkimi rogami. Miał w pysku krótką fajeczkę i ryczał żałośnie. Byłby to jaki omen?

Poczeiwy szwab, ja mu tam na serjo nie myślę zbałamucić żony, chociaż mi on od trzeciej rano spać nie daje. Oryginalna bestja, dziwne prowadzi życie. Wstaje o świcie, wypija kieliszek wódki i zdjąwszy skrzypce ze ściany — nuż na nich rzempolić najokropniej w świecie. Jeszcze nie widziałem tak wczesnego koncertanta. I proszę sobie pomyśleć, że rzempoli tak przez półtorej godziny bez ustanku, potem przez całą godzinę klóci się z żoną o śniadanie, potem jeszcze przez pół godziny uczy gwizdać kosa. Wreszcie wynosi się do fabryki, w której jest werkfirem. Do mnie czuje szczególniejszą sympatię, stara się mówić po polsku, przychem nadużywa wyrażenia: „Pane dobrożen!...”

Z żoną nie zbyt zgodnie żyje. Jest to w ogóle niedobre małżeństwo: ona uparta i kłótliva, nad wszelkie spodziewanie — on zazdrośnik skończony i pasjonat.

Kością niezgody jest między nimi niejaki p. Haus, bardzo przyjemny i utalentowany artysta — enkiernik, który dość często odwiedza p. Filomenę i przy akompaniamencie naiwnie śpiewa z nią słodkie duety, w czasie nieobecności męża. O to ciągłe sprzeczki i awantury, które uroczą nimfę sprowadzają w moich oczach do rzędu... pospolitości. Ładna, bo ładna szelmeczka, ależ kłótliva! nieraz przychodzi między nimi do gorszących scen i skandali.

I z jakiego powodu? Proszę posłuchać.

Rudowłosy Gustaw pochodzi z Wiednia, tam się urodził, tam wychował, ale dziad jego podobno z Prus przywędrował. Mimo to, p. Gustaw nie przyznaje się do tego, jest całą duszą wiedeńczykiem, o Berlinie wyraża się z obrzydzeniem i poczytałby sobie za najsroższą zniewagę, gdyby go kto zechciał nazwać prusakiem. Zdaniem jego, jest to największy dyshonor, jaki wogóle może spotkać człowieka na ziemi.

— Ja, pane dobrodźcu — mówił raz do mnie oburzony — lał swoją krew pod Königraetz, był i pod Blumenau — ja widział tam wszystko, to ja może powiedzieć, co prusak to nie człowiek, pane dobrodźcu!..

Tymczasem złośliwa p. Filomena, chcąc dokuczyć małżonkowi za swego p. Hausa, wypomina mu często pruską kischkę grochową. Nie dalej, jak wczoraj, byłem świadkiem sceny, jaka z tego powodu wynikła. Noc późna... W komnacie małżeńskiej cicho — tylko księżyc zagląda przez okno, tylko mysz gdzieś chroboce w kącie. Śpią małżonkowie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

